

dziwić się temu napływowi podróżnych ani ich dziwnemu wyglądowi. Jednakże nie byli oni podobni do ludzi, jakich się tu zwykle widywało. Przede wszystkim dziwne było ich milczenie, prócz tego zdawało się, że ci ludzie mieli na sobie ubrania wieśniaków po raz pierwszy w życiu. Wreszcie twarze mieli blade lub żółte, tak niepodobne do czerstwych, opalonych twarzy wieśniaków.

Nie pytali o nic Roubiona, na jego zaś zapytania odpowiadali lekceważąco, odwracając się.

Oberżysta był tem tak zaintrygowany, że obudził żonę, która ukazała się w oknie w nocnym kaftaniku, żeby zobaczyć odjazd tych dziwnych podróżnych.

Patryk siedział w ciemnym kącie sali i wyszedł na podwórze na chwilę przed odjazdem omnibusu. Gdy chciał zająć swe miejsce — zdziwił się niepomiernie, widząc, że omnibus jest pełny — w tej chwili nadeszło jeszcze dwóch podróżnych, niosąc niewielką walizkę, która wydawała się bardzo ciężką. Podróżni ci, wraz ze swym bagażem — umieścili się w omnibusie — nie napotykać — czego już Patryk zupełnie nie rozumiał — najmniejszego oporu ze strony innych.

Patryk zeszedł na ziemię i usłyszał głos pani Roubion, która krzyczała:

— Niech pan wejdzie na imperial, panie Patryku, deszczu nie będzie!

Młody człowiek, zaczerwieniony z gniewu — podniósł głowę. Ładnie go urządziła ta baba! Napewno słyhać było jego imię w całym mieście... aż do chałupy Vautrinów przy brzegu lasu...

Odpowiedział jej grzecznie — i nie chcąc zwracać na siebie niczyjej uwagi — w trzech skokach był na imperialu, gdzie nie zastał nikogo, chociaż wewnątrz omnibusu ludzie tłoczyli się jak śledzie. Skrył się w kącie za walizkami, które Michał przy pomocy chłopca stajennego kończył układać.

Konie już były zaprzężone i niecierpliwie biły o bruk kopytami. „Ciekawym, o której godzinie tam dojeżdżemy?” mruzczał Michał — i dorzucił przez zęby: „Jeżeli wogóle dojeżdżemy!” Ale Patryk tego nie słyszał. Zajęty był jedynie rozmyślaniami o tem, czy można go będzie dojrzeć w chwili gdy omnibus wjeżdżać będzie do lasu, niedaleko od chałupy Vautrinów.

Wreszcie wyruszone wśród turkotu, brzęku dzwonek i trzaskania z bicza. Za miastem Patryk odważył się spojrzeć w stronę Vautrinów: chałupa była zamknięta i nie zobaczył tam nic podejrzanego; wówczas rzucił okiem dalej na dom wuja i ujrzał w bramie ogrodu smukłą postać Magdaleny, machającej chustką.

Patryk poczuł, że krew zbiega mu do serca; nie było to z powodu gwałtownego odczucia miłości — poprostu strach go opanował na widok tak nieostrożnego postępu narzeczonej. „A — myślał — to się jej nie udało! Przypuszczałem, że jest mądrzejsza!”

W lesie — uspokoił się nieco. Czuł, że z każdym krokiem koni oddala się od Saint-Martin — i to przywracało mu równowagę ducha.

Ale stan ten nie trwał długo!

Nie przejechano jeszcze lasem dwóch kilometrów, gdy Michał nagle rzucił przekleństwo, powstrzymując spłoszone konie. Przyczyną tego była dziewczyna, która wyskoczyła na drogę z lekkością sarny.

— Ach! — to Zoe — rzucił przez zęby Michał.

Zoe! Więc ta dziewczyna była wszędzie, wszędzie, gdzie był Patryk... poprostu śledziła go! Młody człowiek skulił się w swym kącie, ale mała już go dojrzała:

— Dzień dobry, panie Patryku! Więc pan wyjeżdża! A gdzie pan dojedzie tą drogą?

Patryk nie odezwał się ani słowem — wówczas Zoe wybuchnęła głośnym śmiechem, który mu krew zmroził w żyłach i rzuciła: „Wesołej podróży!”

Dziewczyna dawno już znikła w lesie — a Patryk wciąż miał w oczach jej drobną postać, skaczącą w obłokach kurzu.

— Jak pan myśli — zwrócił się do konduktora — czy przyjeździemy do Saint-Barthélemy przed nocą?

— O, nie wcześniej, jak o dziesiątej wieczór — odparł tamten, trzaskając z bata ze złością. — Dopiero o jakiej drugiej popołudniu będziemy w Mongeron.

Perspektywa podróży po nocy nie zachwyciła Patryka. Pograżył się w najczarniejszych myślach. Michał nie wyglądał na gadulę, nawet nie odwrócił się, gdy Patryk zadawał mu pytanie. Zresztą, zdawał się być bardzo zajęty swymi końmi i drogą, którą starannie badał ciągle swymi małymi oczkami o zaczerwienionych powiekach.

Patryk dziwił się, że był sam na imperialu, podczas, gdy wewnątrz omnibusu było tak ciasno, podzielił się tem z Michałem, ale ten odparł sucho: „To ich rzecz!” Na wzniesieniach drogi — podróżni wysiadali z omnibusu — z wyjątkiem tych dwóch, którzy przynieśli razem walizkę. Podróż odbywała się jednostajnie i bez przygód. O drugiej popołudniu przyjechano do Mongeron, gdzie zjedzono zimne śniadanie.

Patryk miał zamiar, przez chwilę, zanocować w Mongeron i jechać dalej na drugi dzień wynajętą



Gdy przybył do oberży, chłopak otwierał właśnie drzwi...

bryczką, chciał w ten sposób uniknąć nocnej podróży przez las. Ostatecznie jednak zdecydował, że lepiej jechać, nawet nocą, w licznej towarzystwie, niż pozostawać samotnie w lesie, w tej pustej gospodzie. Podczas śniadania nic niepokojącego nie zaszło! Gdy nadszedł czas odjazdu, podróżni zajęli swe dawne miejsca. Teraz byli bardziej rozmowni i idąc obok omnibusu pod górę, rozmawiali, jak starzy znajomi, którzy mają sobie wiele do powiedzenia; mimo to nie spuszczali omnibusu ani przez chwilę z oczu. Patryk bardziej, niż kiedykolwiek, żałował, że wybrał ten sposób ucieczki z Saint-Martin. Droga ta, od chwili, gdy ujrzał na niej siostrę Vautrinów, wydawała mu się najniebezpieczniejszą ze wszystkich, jakie znał, zwłaszcza iż było coraz ciemniej. Oddawna już wjechano w głąb wysokopiennego boru i wydawało się teraz zrozumiałem, czemu dano mu nazwę „Czarnego Lasu”. Światło dzienne prawie nie przedostawało się przez zbitą gęstwinę liści. Dziwna cisza panowała wśród tych drzew olbrzymich. Tylko od czasu do czasu trzaskanie bata Michała budziło echa w tej puszczy.

Co do Michała, to ten również nie był tak milczący, jak przedtem. Oberżysta w Mongeron przyjął go gościnnie i napełnił białem winem jego po-

drózną flaszkę. Patryk słyszał od czasu do czasu, jak konduktor mówił sam do siebie. Miał przytem minę człowieka, który dowiedział się czegoś bardzo ważnego, o czym nikt więcej nie wiedział. Powtarzał, mrużąc: „Niech tak dalej idzie!... Niech tak dalej idzie!...”

Około szóstej przybyto do stóp Wilczego wzgórza, nazwanego tak od znajdującej się na niem skały, która z daleka, przy pewnej dozie fantazyi, przypominała kształt wilka.

Podróżni, jak zwykle w takich razach, wysiedli z omnibusu, a Michał wypuścił lejce i począł drzeć. Nagle głos z drogi zawołał:

— Tyka! Nie śpij!

Patryk otworzył szeroko oczy. Tyka! Kto wołał? I do kogo zwrócono to wołanie? Wychylił się, patrząc na drogę i ujrzał koło koni osobnika, który przedtem nigdy nie wysiadał z omnibusu. Patryk poznał w nim jednego z tych, którzy na chwilę przed odjazdem przynieśli ciężką walizę. Był to młody chłopak, niewielkiego wzrostu, chudy, w czapce na głowie. Wygląd jego odpowiadał opisowi, jaki dał Hubert Vautrin, opowiadając matce i braciom o rozmowie „Tyki z małym chudym”.

Mały patrzył wesoło, w górę na Michała, który — zartuiąc — zdziei- lił go batem przez plecy.

Patryk przeniósł wzrok z drogi na kozioł.

— Jaktó? — rzekł do Michała ze wzruszeniem, którego nie starał się nawet ukryć — więc to pan jest „Tyką”?

Michał nie odpowiedział mu.

— Przepraszam pana... Pan jest panem „Tyką”?

Tamten wreszcie odwrócił się.

— Coż to pana obchodzi? Nazywam się Michał Pottevin — a przeważnie dla śmiechu „Tyką”. Przeważała mnie tak kiedyś matka Vautrin. Dawniej, kiedy miała jeszcze nogi — często tańczyliśmy razem. No i tak mnie nazwała... Zdaje się, że to znaczy w ich żargonie: konduktor. No, więc tak się nazywam — czy to panu wystarcza? Żadovolony pan z tego?

Patryk na razie — nie był w stanie odpowiedzieć. Mały wlaź na kozioł i począł szeptać do ucha Michałowi. Tamten wzruszył ramionami. Mały zlaź na ziemię — a Michał burknął — „Rób sobie, jak chcesz, ale ja się do tego nie chcę wtrącać”.

Dziwne światło zajaśniało nagle w oszołomionym umyśle Patryka.

Doskonale! To mu się udało! Rzeczywiście — może powiedzieć, że ma szczęście! Wsiadł do omnibusu, żeby nie narażać się na przygody i oto wplątał się w najniebezpieczniejszą sprawę, jaką można sobie wyobrazić, w napad na omnibus! I nic nie wiedział, niczego się nie domyślał! Jak się to mogło stać, że nie rozumiał tego wszystkiego, co się dokoła działo! Teraz wiedział już — teraz był pewny! Więc lada chwila, lada chwila mogą napaść na omnibus! To ta-

kie jasne — takie proste! Ciężka waliza zawiera pieniądze — te dwieście tysięcy, o których mówił wtedy Hubert Vautrin. A ci podróżni — trzeba było przyjrzeć się im lepiej, żeby bez trudu odgadnąć do jakiego rodzaju administracji należą! A nieobecność pana de Meyrentin, który zaraz po rozmowie z nim udał się na telegraf! A pan sędzia śledczy potrafił skorzystać z czasu, jaki uzyskał przez wybieg z naprawą koła, żeby zorganizować obronę dwustu tysięcy franków! Specyjalnym pociągiem sprowadził tych fałszywych wieśniaków, przy pomocy których ma nadzieję przyłapać na gorącym uczynku trzech braci wraz z ich tajemniczym wspólnikiem.

Zimny pot oblał Patryka, gdy zrozumiał to wszystko. Pocieszył się tylko nadzieją, że plan był rzeczywiście zanadto prosty. Myślał, że trzej bracia byli już uprzedzeni, że nie darmo Zoe pilnowała dworca i śledziła las. Nie ośmielił się teraz napaść! I oto, on, Patryk, jedzie przez Czarne Lasy pod strażą całego oddziału policyi.

(Dalszy ciąg nastąpi).